

*Godzina szósta, może siódma po południu  
Tenże sam trakt*

A jednak nie dane im było dotrzeć bezpiecznie do Denowa.

Kiedy na tle czerwonej łuny zachodzącego słońca zarysował się przed podróżnymi skraj lasu, doszedł ich kwik konia, a potem łskot i szelest liści.

- Konia wilki dorwały! – zakrzyknął Nieborski.
- Dajcie guldynkę, będzie wilczur na podszewki!
- To ogary za dropiami szaleją po krzakach! Widzicie: konie stoją spokojnie.

Rzeczywiście, ani husarska Hetmanka pana Jacka, ani oba podjezdki nie zdradzały niepokoju, nie prychały, nie podnosiły głów ani nie naprężyły grzbietów. Zastrzygły tylko uszami, łowiąc niedalekie rzenie.

Kwik zabrzmiał znowu.

– Podskoczę i sprawdzę – zaoferował się Nieborski.

– Nie! – uciął Jacek. – Bo znowu trzeba będzie kogoś z bagna za uszy wyciągać. A ja wyświadczyłem dzisiaj aż za dużo dobrych uczynków.

W krzakach coś załomotało, trzasnęły łamane gałęzie, a potem rozległ się żalosny, rozpaczliwy wrzask.

– Diabli na ludzi napadli – wykrztusił pocztowy.

Jeśli stolnikowic sądził, że przejadą obok tajemniczego miejsca, to mylił się równie wielce jak zagrodnik, który myślał, że przeczeka pohański czambuł, ukrywając się w chałupie postawionej na środku tatarskiego szlaku. Nagle z gałęzi leszczyny i wysokich traw wychynął łeb konia. Wierzchowiec jednym skokiem wy dostał się na świeżo skoszoną łąkę. Przebiegł obok taboru, wzbudzając wśród koni wyraźną chęć pobrykania na swobodzie, która zamaifestowała się od razu tumultem i podskokami wśród rumaków z pocztu, a rzeniem i biciem kopytami w ziemię u woźników.

Siwek nie odbiegł daleko. Zwolnił do kłusa, zatoczył koło, przeskoczył przez niewysoki chruściany płot, lądując zgrabnie, jak tancerka, na niwie obsianej owsem. Obejrzał się na swoich pobratymców i zamarł; mokry, kołysząc porwanymi, postrzępionymi wodzami, zwieszającymi się żałośnie z czanek munsztuka u pyska.

Piękny to był koń. Po małej, kształtnej główce i jeleniej szyi Dydyński poznał polskiego wierzchowca. A po skocznych ruchach, zajęcej lekkości tylnych pęcín, a także płaskim krzyżu oraz ulanym i gibkim zadzie – potomka tureckich natolijczyków i perskich argamaków zdobywanych na polach bitew i odkarmianych na łąkach Małej Polski. Krzyżowanych także z miejscowymi konikami o rodowodach równie starych, co korona Królestwa Polskiego.

Jacek ledwie spojrział, a już wiedział, że wierzchowiec idzie galopem równie wdzięcznie i łagodnie co łania pędząca po soczystej wiosennej trawie, i to niemal nie wybijając jeźdźca z kulbaki. Dydyński znał się na koniach; który zresztą szlachcic na nich się nie znał? Wszak koń i szlachectwo polskie były to rzeczy dogłębnie ze sobą związane, jak niewiasta i mężczyzna albo dwie połówki owocu. Jak świat światem nie było bowiem Polaków bez koni, koni bez Polaków. Szlachcic był głową wierzchowca, a rączy rumak – koroną tejże szlacheckiej głowy. Lach bez konia był jak ciało bez duszy, Żyd bez kozy, diak bez psałterki, a gospodarstwo bez kota na zapiecku.

Oczy wierzchowca byłyby ciemne, głębokie jak jezioro i pewnie gdyby wystawiono go na końskim targu, utonęłyby w nich niejedna szlachecka sakiewka. Byłyby, bo pozostało mu tylko lewe. Zamiast prawego na kształtnym łbie widniał pusty, pokryty czarną krwią oczodół. Zresztą w ogóle koń wyglądał, jakby uszedł z pola walki; jego zad i bok pokryte były zakrzepłą krwią, terlica, czyli siodło, była przekrzywiona, a aksamitny czółdar, to jest czaprak, tkany srebrną nicią, był postrzępiony i obszarpany. Bogata tranzelka i reszta ekwipunku świadczyły, że koń nie należał do hołysza i zaściankowego gołoty. Taki bowiem szaraczek chadzał pieszo, a zamiast w kulbace i z szablą popisywał się na pospolitym ruszeniu ze strzelbą na przepiórki i okutym kijem do przepłaszania wiejskich kundli.

W ślad za koniem z krzaków wypadły trzy pokraczne postacie potrząsające kijami i kosturami. Nie byli to, uchowaj Panie Boże, szlachcice, ani nawet kmiecie czy zagrodnicy siedzący na spłachetku ziemi. Ich ogorzałe gęby, smród dziegciu i łajna, a nade wszystko nogi krzywe jak pałaki od cebra zdradzałyby przynależność do pospolitego plebejskiego rodzaju, nawet gdyby przebrali się w jedwabie. Wyglądali na osadczyków albo borowych ludzi – smolarzy lub budników z pobliskich lasów. Na widok zbrojnego pocztu zamarli w pół drogi, ale ich gęby nie stały się przez to ani odrobinę mniej zuchwałe.

– Co tu się dzieje?! – zagrział Dydyński. – Dokąd to? Na pielgrzymkę?

Najbliższy i najbardziej zarośnięty chłop w baranicy rozpiętej na piersiach i ukazującej tors pokryty tak gęstym czarnym włosem, jak gdyby powiła go wilczyca, spojrział niepewnie na swą dębową łagę, a potem zmieszany opuścił chłopską szabelkę.

– Prostyte, panoczku – wymamrotał, popatrując to na Dydyńskiego, to na pokrzwionego wierzchowca w owsie. – My za kinie przisli...

– Czapkę ze łba, jak z jaśnie wielmożnym gadasz! – warknął Świrski, który nie cierpiał chłopów, wójtów oraz chamów wszelakiej maści równie mocno, co fałszowanego wina. Zajechał plebeja od tyłu i jednym kopnięciem strącił baranicę ze łba.

Dopiero teraz chłop skłonił się uniżenie, a jego kompani, niemal jak na wojskową komendę, opuścili kłonicę i skulili się, z wilków zmieniając się w kiedel wystraszonych owiec.

– Pomiłujcie, pane... My kinia uwidzieliśmy... Posoka na nim, tak my chcieli go łapać...

– Czyj to koń?

– My ne znamem!

– A to nie wy ubiliście właściciela? – spytał Nieborski.

– Panie Świrski, weź ich, waść, pod straż! – zagrział Dydyński, bo nie podobało mu się to wszystko. Skoro koń był poraniony, to znaczyło, że jego pan musiał paść ofiarą napadu albo zbójceckich porachunków. – Mykoła, Borek, dawajcie tu z rusznicami. Obstawić ich, w łeb mierzyć, wzroku nie spuszczać! A wy, kozojebcy, rzucić mi te lagi! I to zaraz!

Słudzy gnali już od wozów z nabitą bronią. Świrski i Nieborski warowali wokół chłopów konno. A na brodatych, ogorzających obliczach hultajów Dydyński dostrzegł prawdziwy, a nie udawany strach. I tak powinno być.

– Pomiłujcie, pane! – jęknął najmłodszy, w brudnej siermiędze, porwanych postołach z lipowego łyka, o przebiegłej gębie wiejskiego mądrali. Padł na kolana i wznosił ręce ku niebu, jak

gdyby szlachcic był ruskim świętym. – My nie winowaci. My nikogo nie ubili, jeno konia chwytaliśmy.

Pozostali stali niepewnie. Ten trzeci miał w palcach słomiany kapelusz.

– Panie Nieborski, sprawdź, waść, tamte zarośla, czy ciał nie ma! – rozkazał Dydyński.

– My ludzie pana ekonomy Charbickiego... Z folwarku. Sprawdzić możecie, pane. My nie winowaci...

Nieborski pomknął, a potem wrócił takim galopem, aż ziemia zadudniła jak pod chorągwią jazdy. Pokręcił głową.

– Nic nie znalazłem. Jeno matki i siostry tych rezunów ryją w dębinię za żołędziami. To naprawdę świniopasy.

– Prawdu każe – jęknął zarośnięty. – My nie ubijce.

– Łapmy konia – rzucił Świrski. – Bo nam w pola ujdzie.

– Panie Świrski, pilnuj ich! Jakby który uciekał – kula w łeb!

Dydyński i Nieborski ruszyli w stronę zakrwawionego siwka. Stolnikowic podjechał doń wolno. Bezoki wierzchowiec parsknął, cofnął łeb.

– Zdrow, zdrow – powiedział szlachcic łagodnie i wyciągnął rękę, chcąc złapać uzdę.

Nie zdążył. Poraniony koń zerwał się do galopu, przemknął między Hetmanką a cisawym podjezdkiem Nieborskiego, przeskoczył przez chruściany płot, a potem zatrzymał się na drodze.

Tym razem zaszli go szerszym łukiem, podjeżdżali stępą, przemawiając do siwka łagodnymi słowami, jakie rzadko słyszeli z ust szlachciców chłopów i komornicy na folwarkach.

I znów ich wysiłki spaliły jak mokry proch na panewce rusznicy. Koń puścił się galopem w stronę kolejnej nadszańskej dąbrowy. A pan Dydyński wyraźnie ujrzał teraz, że zakrwawiony zwierzak był klaczą albo młodą kobyłą.

Puścili się skokiem, niemal jak wilki za umykającą łanią. Klacz wyczekała, aż zbliżą się do niej, a potem uciekła do lasu. Dydyński zaklął. Kluczając wśród dębczaków, oddalali się od traktu i zbliżali do Sanu. Umykający koń mignął między drzewami, zarżał głośno i jakby żałośnie, a Jacek zboczył w lewo,

nad sam San, popędził Hetmankę łydkami, a potem wyjechał na niewielką polankę w miejscu, gdzie skraj lasu opadał stromo aż do samej wody.

Nieborski jak zwykle był pierwszy. Zeskoczył z konia, przywiązywał właśnie wodze do omszałego pniaka wynurzającego się spomiędzy mchów i włośchatych paproci. Ruszył powoli, z rozłożonymi rękoma, do miejsca, w którym stała siwa klacz.

Rumak zarżał przenikliwie, cofał się, bił kopytami w ziemię obok stosu gałęzi obsypanych grubą warstwą podłużnych, postrzępionych dębowych liści. Zniżył pokryty zakrzepłą posoką łeb i parsknął gniewnie.

Dydyński zeskoczył z kulbaki, przywiązał uzdę Hetmanki obok cisawego podjezdka pocztowego. Ruszył przez polanę pomału, nie chcąc spłoszyć klaczy. Do stu fur czarcich pył, dla tej siwej dzierlatki nawet on, towarzysz husarski, gotów był na chwilę zmienić się w pieszeo hajduka.

Nieborski uprzedził go; pierwszy podszedł do konia, powoli sięgnął ręką do uździenicy, ujął pasek policzkowy, przytrzymał, chwycił chrapiącego konia za postrzępioną uzdę, poklepał, uspokajał, przemawiał do klaczy niczym do wylęknionej dziewczki.

A potem wypuścił cugle z rąk i krzyknął, złapał za zygmun-tówkę u lewego boku; spłoszony koń kwiknął, szarpnął łbem, odskoczył w bok, szamocząc się wśród zarośli. Zamiast łapać wierzchowca, pocztowy pochylił się nad kupą chrustu, rozrzucił gałęzie i cicho jęknął.

– Panie Jacku, tutaj! Do diabła...

Co ten Nieborski tam zobaczył? Chyba skrzynię ze skarbem wielkiego wezyra, skoro wypuścił dla niej cugle konia wartego ze dwieście czerwonych złotych!

Ale kiedy stolnikowic stanął przy drzewie, sam ściągnął z głowy kołpak.

Pod gałęziami leżały nagie ciała. Trzy albo cztery trupy pokryte zakrzepłą krwią; klacz należała widać do któregoś z nich i przyszła do martwego pana jak wierny towarzysz broni.

W rodzinnych stronach powitał pana Dydyńskiego najpierw nieboszczyk na wasągu, teraz zaś okrwawione zwłoki. Był głupcem, jeśli myślał, że blade mary i sztywne ciała zostawił tam, w Inflantach, pod Kokenhużą i Białym Kamieniem. Pod Kiesią i w Wenden, gdzie towarzysze z chorągwi Szczęsnego Niewiarowskiego rabowali mieszczan, a wielu, zbyt wielu Inflantczyków pozostało na śniegu z krwawymi szramami od polskich szabel.

– Zapłacę tym kozim synom! – warknął do Nieborskiego. – Ciała pod chrustem ukryli, a łupy w jamie. Na szczęście koń im uciekł i naprowadził na trop zbrodni!

– Wasza mość, tego nie uczynili chłopi. Patrz, tu są rany zadane żelazem. Skąd szable i pałasze w rękach chamów?

Nieborski miał rację. Ledwie Dydyński pochylił się nad pierwszym z nieboszczyków, jego fachowe oko dojrzało linię cięcia, która przeorała gardło nieszczęśnika równie prosto i głęboko, co lemiesz kolejnego pługą ziemię. Kilka innych krwawych nacięć zdołało prawą rękę i ramię.

Prawda była prosta jak w gębę strzelił – to uczyniły szable, a nie siekiery i kłonicie świniarzy napotkanych pod Bachorkiem.

Zabitych porąbano w krwawe strzępy. Trupy odarto do gaci i koszul, porzucono pod dębem i nakryto gałęziami. To świadczyłoby, że ubito ich dla pieniędzy, szat i moderunku. Z drugiej jednak strony zabójcy śpieszyli się. Kiedy Dydyński i jego pocztowy odsłonili resztę gałęzi, między liśćmi błysnęły złote i srebrne monety. Grzebiąc w ziemi, znaleźli kilka poczerniałych gdańskich ortów, kilkanaście trojaków i szóstaków, a nawet czerwonego złotego i dwa półkopki. Jeden z trupów miał oberżnięte dwa palce – pewnie dla kosztownych pierścieni. Drugiemu z kolei pozostawiono srebrne rapcie i szablę, warte ładne parę złotych, a przy nich nienaruszoną sakiewkę. To wszystko świadczyło, że albo mordercy zrabowali coś wartego znacznie więcej niż pas, albo też ktoś zaskoczył ich przy mo-  
krej robocie.

Trzeci z zabitych był bez wątpienia szlachcicem. Młode oblicze ozdobione wydatnym, orlim nosem i jasne włosy, podgolonem rycerskim obyczajem po bokach głowy, przecięte miał krwawą krechę. Młodzieńcze wąsy ledwie rysowały się nad górną wargą złotawym puchem...

Znał tę twarz!

Dydyński podniósł się chmurny i wstrząśnięty. Poznawał zabitego. Młody pan Jaksmanicki. Syn znanego swawolnika. Trzy lata młodszy od stolnikowica; towarzysz jego młodzieńcych szaleństw i porywów, kompan z twardej szkolnej ławy.

Wojciech Jaksmanicki zwany Wojcieszkiem. Po jezuickim kolegium i Akademii Rakowskiej ich losy rozłączyły się. Dydyński dostał od ojca poczet i poszedł służyć na wojnie inflanckiej, w chorągwi husarskiej, a Wojcieszek wstąpił na służbę do wojewody sandomierskiego Mniszcha. Różne losy, ale zapłata ta sama. Dydyński wysłużył sobie długi, krew i wyroki sądowe za grabieże i rekwizycje w Inflantach. A Jaksmanicki leśny grób pod konarami dębu, gdzie zawleczono go nagiego i obdartego, takiego, jakim przyszedł na świat.

Nie mógł otrząsnąć się ze wspomnień.

Wyprawa do Sanoka, gdzie pierwszy raz upili się w karczmie u Żyda Moszka. I po sprawiedliwości dostali za to od ojców po dwadzieścia bizunów. Uczciwie, przez plecy i na karmazynowym kobiercu – wszak byli szlachtą, więc nie uchodziło, aby karać ich na więzce słomy. Dobrze, że nie wygadali się, iż przy okazji odwiedzili miejski zamtuż, gdzie dwie młode skortezanki skutecznie zapoznały ich z najtajniejszymi arkanami ars amandi<sup>4</sup>, bo wtedy ojcowski gniew podniósłby takse do czterdziestu batów.

Stare, dobre czasy... Cóż porabiałeś, Wojcieszku? Jakie wichry gnały cię po przemyskich gościńcach? Dlaczego leżysz przede mną sprawiony jak wieprzek? Zimny niczym głaz, nie czuły jak skalne berda Bieszczadu?

---

4 łac. – sztuka kochania



Położył dłoń na lodowatym czole trupa i wtedy dostrzegł ranę na piersi. Dokładnie między żebrami, na wysokości serca. Dydyński szarpnął za porwaną koszulę, rozdarł lniany materiał na dwoje, odsłonił blady tors Wojcieszka i dotarł do samego sedna przyczyny śmierci. Do wąskiej czworokątnej szpary, nabrzmiałej po bokach krwawą wybroczyną.

Pchnięcie. Prosto pod serce.

To nie była rana od szabli; nawet koncerz nie zostawiłby tak dziwnego, graniastego śladu. Nie pałasz, nie szabla, a więc co?

Chyba tylko jedno: włoski, graniasty rapier pojedynkowy.

Wspomnienia jak ręce konie puściły się cwałem do brodu przez Cygański Potok. A pośród różnych facjat i głów zamajaczyła zimna jak lód, nieodgadniona i zarośnięta gęba człowieka z rapierem u pasa.

– To ta czereda wisielców znad brodu! Zamordowali Wojcieszka i jego ludzi! Minęliśmy się z nimi! Ja nawet nie podejrzewałem... Patrz tutaj! – Ścisnął ramię Nieborskiego jak w kleszczach. – To ślad po rapierze, jak tamten, u tego drapichrusta na koniu... On miał taką broń!

Damian strzyknął śliną przez zęby.

– Bierz tę siwą klacz i zbieraj dupę w troki! – ryknął Dydyński. – Dopadniemy psich synów w Dubiecku albo na gościńcu. Miałeś węż jak dobry pies gończy. Opadli ich jak ogary niedźwiedzia, zarąbali, a co pobrali, to pewnie ukryli w trumnie. I wymyślili bajeczkę o nieboszczyku Bolestraszyckim, na którą dałem się złapać jak pijany żak na przechwałki starej murwy! Jedziemy! Zaraz! Natychmiast!

– Powoli, mospanie – zaoponował pocztowy. – Co nagle, to po diable. Po co mamy jechać do Dubiecka? Ja na ich miejscu nie podążałbym przez miasto, nie laźłbym w oczy ludziom. Skoro mieli łupy na wozie ze strzaskaną osią, tedy pewnie szukali kowala albo kołodzieja.

– Racja. Co proponujesz?

– Ja na ich miejscu szukałbym wioski, gdzie nikt nie zapyta, co wiozą i do kogo. A najbliższy kowal jest w Kosztowej, ćwierć

mili od Dubiecka, za wzgórzami. Daję głowę, że tam właśnie pojechali szukać pomocy.

Wojciezek patrzył na nich martwym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek. Dydyński dumał przez chwilę.

– Zbierzemy cały poczet, a Mykoła z wozami niech tu czeka! – zakomenderował. – Walimy do Kosztowej, po drodze zabierzemy Świrskiego i resztę sług! Naprzód!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki